

Samochód wystartował jak rakieta, wprost w przestrzeń kosmiczną, krążył nad księżycem, a on trzymał mnie za rękę, trzymał mnie za rękę, trzymał mnie za rękę...

Uściskał ją delikatnie, po czym położył dłoń na kierownicy. Samochód powrócił do atmosfery. Pan Raxberry palcami zaczął wybijać rytm. Siedzieliśmy nieruchomo, żadne z nas nic nie powiedziało, tylko patrzyliśmy przed siebie.

— No cóż — odezwał się w końcu. Słyszałam, jak przelyka ślinę. — Chyba powinnaś już iść.

— Dziękuję bardzo za odwiezienie, proszę pana.

Popatrzył na mnie.

— Dlaczego zwracasz się do mnie tak formalnie? Przecież wszyscy w szkole nazywają mnie Rax, dobrze o tym wiesz.

— Zgoda. Dziękuję, Rax. — Zachichotałam. — To dziwnie brzmi.

— Lepiej niż Keith.

— Czy żona też nazywa cię Rax?

— Zna mnie zbyt długo. Marianne jest moją sympatią z dzieciństwa.

Nie byłam pewna, czy to dobrze, czy źle.

— Poznaliście się w szkole?

— Kiedy mieliśmy po czternaście lat.

— Byliście w moim wieku?

— Tak.

— O rany.

— Rozumiem, że ty nie masz sympatii?

— Nie!

— Miło mi to słyszeć. No idź już. Do zobaczenia w szkole.

— Tak. Dziękuję. Do widzenia... Rax. — Znowu zachichotałam, rozpięłam pas i wyskoczyłam z auta. Poczekał, aż wejść do sklepu. Odwróciłam się, pomachałam, on mi odmachal i dopiero wtedy odjechał.

Miałam ochotę posiedzieć trochę w ciemnościach sklepu, powdychać zbutwiałych zapach starych książek, zastanowić się nad naszą samochodową przejażdżką, wspominając każde słowo, każdy gest, każdy dotyk. Słyszałam, że mama woła mnie ze swojej sypialni, lekko przestraszona, czy to czasem nie włamywacz. Tylko który szanujący się złodziej polakomiłby się na wymięte egzemplarze książek Catherine Cookson, zniszczoną serię Ladybird, oprawione w imitację skóry roczniki „Reader’s Digest” i niespełna pięć funtów w kasie?

— Prudence? Czy to ty?

Nie, mamó, to już nie ja. To inna, nowa dziewczyna, która unosi się nad zakurzoną podłogą.

Chcę na zawsze pozostać w powietrzu.

Usłyszałam skrzyknięcie jej łóżka i ciężkie kroki. Dobiegł mnie też hałas od strony naszej sypialni i trzaśnięcie drzwi, kiedy Grace otworzyła je szeroko. Westchnęłam i ruszyłam po schodach.

Opowiedziałam im wszystko o domu, meblach, dzieciach, żonie i programach telewizyjnych. Potem wcisnęłam pięćofuntowy banknot w dłoń mamy.

— Ale to twoje pieniądze, Prue!

— Chcę oddać tamte pieniądze na korepetycje z matematyki.

— Dobra z ciebie dziewczynka — powiedziała mama, a ja naprawdę kiepsko się poczułam.

Pocałowałam ją na dobranoc i poszłam do łóżka. Grace zaczęła zadawać mi rozmaite pytania, ale wyjaśniłam jej, że jestem zbyt zmęczona, żeby odpowiedzieć choćby na część z nich.

Leżałam sztywno na plecach, wpatrzona w sufit, i zastanawiałam się, czy i on tak leży, czy śpi, wtulony w żonę.

— Prue! Proszę, powiedz mi, co tam było z Raxem — wyszeptala Grace. Udawałam, że śpię.

— Prue!

Nadal nie odpowiadałam. Wygramoliła się z łóżka i usiłowała wejść do mojego.

— Prue, powiedz, co mówił w drodze do domu? — szeptała, laskocząc mi twarz włosami i przyciskając duże, miękkie ciało do mojego.

— Miażdżysz mnie! Posuń się. Spałam już.

— Wcale nie spałaś. Mnie nie nabierzesz, Prue. Szalejesz za nim, prawda?

— Jasne, że nie. To nudny stary belfer, dużo starszy ode mnie, ma żonę i dwoje dzieci.

— Ale i tak ci się podoba.

— Wcale nie. — Wypchnęłam ją z łóżka.

— Właśnie że tak — upierała się, rozplaszczona na podłodze. — Au! Wariatka. Mogłabyś mieć każdego chłopaka, nawet Toby’ego Bakera, a ty wolisz starego Raxa!

Zakryłam głowę kołdrą. Nie mogłam jej dłużej słuchać. Wsłuchiwałam się we własne myśli, szumiące w mojej głowie jak krew w skroniach.

Źle spałam, ale wstałam wcześniej rano, odkurzyłam i zamiotłam sklep. Ostrożnie wytarłam z kurzu magnum opus taty, po czym godzinami przepisywałam pierwszych kilka zdań, dużymi literami, zastanawiając się, czy tata będzie w stanie to przeczytać, a potem wypowiedzieć na głos słowa, które tworzył przez pół życia i powtarzał pod nosem niczym mantrę.

— To książka taty! Uważaj. Co ty wyprawiasz? — marudziła mama.

Westchnęłam i wyjaśniłam jej.

— Och, Prue! Doskonały pomysł! Dlaczego ja na to nie wpadłam? Jesteś taka mądra.

— Powiedz to moim nauczycielom — mruknęłam. — Uważają, że jestem potwornie tępa.

— Ten cały pan Raxberry na pewno tak nie uważa, inaczej nie powierzyłby ci swoich dzieci — zauważyła mama.

Opuściłam głowę, żeby nie dostrzegła mojego rumieńca. Pracowałam nad książką taty, podczas gdy mama była w antykwariacie, a Grace godzinami trajkotała przez telefon z Iggy i Figgy. Przeglądałam rozmaite notatniki, kartki, notesy i dzienniki taty, usiłując wylapać z nich najważniejsze fragmenty. Patrzyłam na jego drobne, pochylone, ściśnięte pismo, aż oczy zaczęły mi łzawić.

Nadal tego tak naprawdę nie rozumiałam. Wcześniej sądziłam, że to dla mnie o wiele za mądre. Teraz przeczytałam wszystko bardzo uważnie, strona po stronie, i uświadomiłam sobie pewną bardzo smutną prawdę. To wcale nie było trudne. Nie miałam do czynienia z niezwykłą teorią filozoficzną, przełomowym ujęciem kondycji człowieka, ważką prawdą, nowym spojrzeniem na rzeczywistość. To była zwykła paplanina taty. Nie miała żadnego znaczenia dla nikogo poza nim. Może nawet i dla niego nie miała teraz znaczenia.

Zamknęłam książkę. Pragnęłam ją ukryć, tak boleśnie obnażyła tatę. Czulałam się tak, jakbym oglądała go tylko w jego workowatej bieliźnie.

— Prue? Możesz tu przyjść na chwilę? — krzyknęła mama z dołu.

Nie zwróciłam na nią żadnej uwagi.

— Prue! Zejdiesz na moment? Ktoś o ciebie pyta!

Zerwałam się i zbiegłam po schodach, przeczesując włosy palcami, obciągając ohydny sukienkę i żalując, że nie mam żadnych przyzwoitych ciuchów. Chciałam przejrzeć się w lustrze, ale bardzo się bałam, że machnie ręką i pójdzie, jeśli będzie musiał dłużej na mnie czekać.

Wpadłam do sklepu z płonącymi policzkami, bez tchu. Rozejrzałam się wokół. Nigdzie go nie było. Zamrugalam oczami. Zobaczyłam mamę, jak wskazuje na jakiegoś głupiego chłopaka przy drzwiach. Nie na pierwszego lepszego chłopaka, tylko na Toby’ego Bakera.

Westchnęłam ciężko.

— A, to ty — powiedziałam nieuprzejmie.

— Cześć, Prue — odparł, wcale nie zniechęcony. — Jak się miewasz?

Patrzyłam na niego, jakby mu odbiło.

— Twoja mama mówi, że nie musisz dziś rano pracować w sklepie, więc pomyślałem, że może załatwimy sprawę tych korepetycji. No wiesz, ja ci pomogę w matmie, a ty posłuchasz, jak czytam. Mam ze sobą książki. — Poklepał plecak.

— Cudownie! — zawołała mama. — Gdzie chcecie się uczyć? Zawsze możecie skorzystać z biurka taty, Prue.

— Pomyślałem, że może pójdziemy do miasta, na przykład do McDonalda, i najpierw wypijemy kawę. Moglibyśmy się zrelaksować, wtedy nie byłoby tak jak w szkole — wyjaśnił Toby.

Mama skinęła głową, zafascynowana jego urodą i doskonałymi manierami. Usłyszałam za sobą cichy okrzyk. Grace zbiegła za mną po schodach i teraz wpatrywała się w Toby'ego. Jej palce drgały, gotowe wykręcić numer Iggy albo Figgy.

— Wybacz, Toby, ale nie mogę — odparłam. — Mam sporo roboty.

— Nie masz — wtrąciła Grace.

— Bardzo mi dziś pomogłaś. Możesz się zrelaksować — oświadczyła mama. Wydawała się trochę przejęta, ale dodała zdecydowanie: — Moim zdaniem to doskonały pomysł, żebyście się spotykali i pomagali sobie w lekcjach.

Nie miałam na to ochoty, ale nie mogłam ot tak odmówić przy Tobym. Wymamrotałam jeszcze kilka nieprzekonujących wymówek i zostałam wypchnięta z nim do miasta.

— Nie mam za dużo czasu — oznajmiłam.

Wbiłam sobie do głowy, że być może Rax wpadnie do sklepu, kiedy jego żona będzie krążyła po Sainsbury. Chybabym umarła, gdyby przyszedł, a mnie by nie było.

Miałam nadzieję, że cała ta gadanina o korepetycjach okaże się tylko pretekstem i Toby będzie chciał mnie zaciągnąć w jakieś ustronne miejsce i pocałować. Wtedy mogłabym go po prostu splewić i prędko wrócić do domu. Jednak ku mojej irytacji najwyraźniej postanowił nienagannie się zachowywać i trzymać na przyzwoitą odległość, gdy szliśmy do centrum. Opowiadał o swojej dysleksji i o tym, jak go upokarzano w dzieciństwie, i że nienawidził książek do tego stopnia, że zabazgrał te, które należały do jego siostry.

Potakiwałam uprzejmie, ale tak się przy tym męczyłam, że rozboleła mnie głowa. Mimo to jakaś mała częśćka mnie była zadowolona, że podobam się chłopakowi pokroju Toby'ego Bakera. Kiedy dotarliśmy do centrum, grupki robiących zakupy dziewczyn gapily się na nas zazdrośnie, unosząc brwi na widok mojego sobotniego stroju. Włożyłam zeszłoroczną ohydną sukienkę z niebieskiego sztruksu, o wiele za krótką, i bezkształtny, zrobiony na drutach fioletowy sweter, który rozciągnął się w praniu. We włosy wplotłam niebieskie i fioletowe szklane koraliki, namalowałam niebieski chaber na jednym starym czarnym bucie i fioletową stokrotkę na drugim. Martwiłam się, że przez te własnoręczne ozdoby wyglądam jeszcze dziwniej niż zwykle.

Toby zadał sobie sporo trudu. W szkole zawsze nosił wystającą ze spodni koszulę, rozwiązany krawat i buty, teraz jednak miał na sobie modną kurtkę z kapturem, czarny sweter i czarne dzinsy, tak nowe, że ledwie mógł zginać nogi. Świeżo umył słynną blond grzywę. Jedwabiste pasma wpadały mu do oczu, co chwila musiał odgarniać je ręką. Wiedziałam, że wszystkie dziewczyny w Wentworth uważają ten gest za niesłychanie seksowny, mnie jednak coraz bardziej irytował.

Poszliśmy do McDonalda w centrum handlowym. Toby uparł się, że kupi nam dwie cole i dwie

porcje frytek. Pomyślałam, że Grace dałaby się pokroić za możliwość spróbowania mcdonaldowych frytek.

Toby zaprowadził mnie do stolika na samym końcu, po czym otworzył plecak. Rzeczywiście wziął ze sobą pół tuzina książek i dwa bloki papieru.

— Okej, pomyślałem, że może zaczniemy od podstaw matematyki. Nie to, żebym wszystko wiedział, ale pomogę, jeśli zdołam.